

Zygmunt Abrahamowicz (1923–1990)

Uczony w anegdocie

*Urodzony w Załukwi pod Haliczem
krakowski turkolog i archiwista
we wspomnieniach córki.*

Złoba zaczyna się od czerni. Osieroceni toniemy w rozpacz i nie dochodzi tam żaden promień światła, gdyż nie udało nam się powstrzymać śmierci. Kolejne lata spowija gęsta szarość smutku – boli nawet spojrzenie na ulubiony przedmiot Zmarłego czy Jego zdjęcie. Jeszcze bardziej doskwiera nam gryzący żal, że nie było Go przy narodzinach drugiego wnuka i wnuczki, na osiemnastkach całej trójki ani przy powolnym, lecz radosnym wyzwalaniu Polski z ograniczeń komunizmu, który zawsze napawał Go wstrętem, także jako historyka. Ale mijają dekady i pamięć o Zmarłym nie rozwiewa się w mglistej bieli, przeciwnie, powracają kolory: zapach wyczarowanych przez Niego potraw, obrazy wspólnych zabaw i podarunków z dalekich podróży, wzruszenia przy modlitwach, miłe dźwięki tak wielu dobrych chwil przeżytych razem, duma z osiągnięć Ojca, podziw dla Jego uczciwości i altruizmu.

O dorobku Zygmunta Abrahamowicza jako orientalisty i historyka napisano wiele, tak jak liczni są ludzie, którzy nadal wspominają piękną miłość Moich Rodziców, Marianny i Zygmunta, chociaż minęło 25 lat od Ich śmierci. Na moich kolanach bawi się inna Marianna, Ich prawnuczka. A ja czuję, że już stać mnie na uśmiech, już czas opowiedzieć inną historię o Tacie, pełną życia historię o Jego postrzeganiu świata. „Uczeni w anegdocie” to była jedna z ulubionych książek z mojego dzieciństwa, oczywiście prezent od Ojca. Czas, by dołączył do nich On sam, za przewodnika mając, jak na filologa przystało, alfabet.

Ameryka. „To cudowny kraj, co za bzdury ludzie plotą, jakie gangi, jaka tam przemoc. W Bostonie pozwalali mi siedzieć w bibliotekach do późnej nocy, a w Nowym Jorku system przekazywania woluminów z magazynów do

czytelni działa jak błyskawica. W życiu nie widziałem tak wspaniałych wózków na książki” – opowiadał po kilku miesiącach spędzonych w USA, kiedy Harvard University zaprosił Go na cykl wykładów.

Budapeszt. W stolicy Węgier bywał często, znalazł wiele bezcennych dokumentów z Imperium Osmańskiego, rozwiązał też niejedną zagadkę związaną z dziełami sztuki pochodzącymi z Turcji. Ale po skończonym dniu pracy, mimo urody miasta cierpiał na jego ulicach i w bogato zaopatrzonych księgarniach. Nic, żadnego klucza, zero skojarzeń choćby z jednym z trzynastu języków, jakimi Ojciec władał. „Ach, ja dumny idiota, gdybym chociaż się kiedyś nauczył fińskiego, ale mi się nie chciało!” – mruknął zgnębiony, gdy z Mamą, zachwycone, podchodziliśmy pod Basztę Rybacką. „Jedźmy wreszcie do tej Rumunii, tu się nic nie da zrozumieć!”

Ciastrka. Wymyślnie dekorowane, ślicznie zapakowane, przywożone do Krakowa z warszawskiego Hotelu Bristol czy z cukierni w Wiedniu, łączyły trzy wielkie miłości Ojca – do rodziny, do małych ozdobnych przedmiotów i do słodyczy, niestety zakazanych od kiedy pisząc doktorat nabawił się cukrzycy. Wzruszony patrzył, jak nasze widelczyki plądrują smakołyk, cieszył się naszą radością. A te „sekretne”, bez Mamy, spacerowały w dwójkę po arabskich dzielnicach Paryża, kiedy miałam trzynaście lat... Na witrynach cukierni lśniły egzotyczne arcydzieła, Tata zagłębiał się w dziwnie brzmiącej konwersacji z właścicielem, a ja w wybranej przez Niego bombie kalorycznej. Były przepyszne, ale nie dziwię się Mamie!

Doktorat. Miesiącami podrzucałam na biurko anonimowy typ „Tata, zrup doktorad”. Wreszcie wielka gala na Uniwersytecie Jagiellońskim, uśmiechnięci krewni z Halicza i Wrocławia, bukiety kwiatów, Tata w uroczystej sukience do



Fot. archiwum rodzinne

Zygmunt Abrahamowicz z córką Hanną.



stóp i kwadracie na głowie, Mama z wyrazem ulgi na twarzy. Tata wychodzi na środek, kłania się profesorom z Warszawy i ze smutkiem wyznaje, że niestety nie jest jeszcze przygotowany i podejździe do obrony innym razem. Profesor Wójcik rzuca przerażone spojrzenie na Mamę, a łagodne na Tatę i mówi: „Rozumiemy Pana rezygnację, cóż, trudno. Ale skoro zjechałszy tutaj ze stolicy, może byłby Pan łaskaw wyjaśnić nam pewną wątpliwość, o której dyskutowaliśmy w pociągu...” Tata się rozpromienia, a po kilku kwadransach profesor przerywa mu monolog informacją, że właśnie obronił doktorat. Tata, nagle posepny, próbuje protestować, ale nikt na sali już nie ma ochoty płakać i zewsząd słychać stłumione chichoty. Kończymy ucztą u Wierzynka i Mama odzyskuje normalny koloryt twarzy.

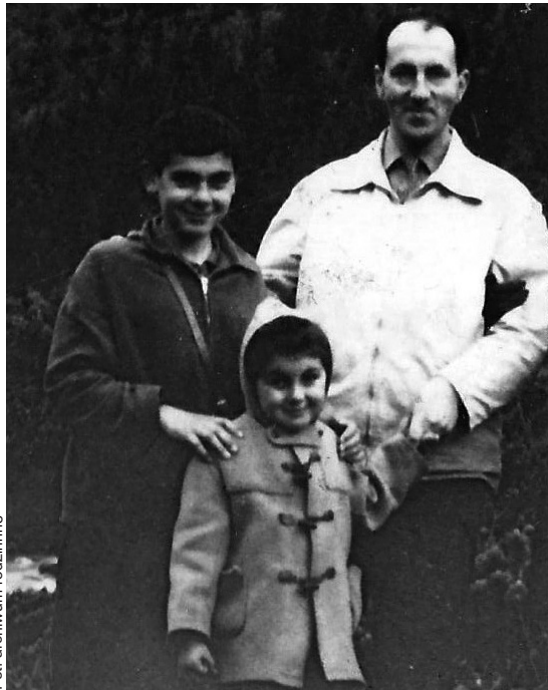
Elegancja. Nie chodzi tu tylko o gładko przystrzyżone włosy czy niedzielny rytuał prasowania swoich własnych koszul i spodni od garniturów. Ojciec należał do pokolenia, dla którego elegancja zachowań i języka była swia-

Po obronie doktoratu.
Kraków, 1968 r.
Od lewej: Zygmunt
Abrahamowicz z córką,
Stella Goldgart, nn, Magda
Szulimowicz, Zofia
Łopatto, Maria Kotwicz,
Michał Abrahamowicz,
Jerzy Łopatto, Marianna
Zajączkowska-
Abrahamowicz.

dectwem dojrzałości. Jego cięty dowcip nigdy nie zniżał się do sarkazmu czy aluzji do spraw cielesnych. Po rycersku, z wielkim szacunkiem, niezależnie od ich pozycji społecznej traktował wszystkie panie, i czasami to prowadziło do nadinterpretacji, czego na szczęście nie zauważał (w przeciwieństwie do Mamy).

Francja. W 1974 roku zaproszono Ojca do Paryża na pół roku. Za pracę w instytucie dostawał przeciętną pensję francuskiego naukowca. Gdyby był typem ciułacza, ile cudownych doświadczeń by mnie ominęło! Ale nie był i sprowadził nas z Mamą do siebie na cztery miesiące. Wbrew logice krakowskiej biedy, z zachwyty nad pięknem, z potrzeby dzielenia się tym, co inspiruje. Wróciłam do Polski nie tylko pełna wrażeń i wiedzy. Wróciłam odporna na kompleks bogatszego życia, przekonana, że granice są płynne, przyjaźnie z obcokrajowcami bezcenne, a najważniejsze dobra materialne powszechnie dostępne – w galeriach malarstwa. I nadal tak żyję – dzięki Tacie.

Z dziećmi, synem Michałem i córką Hanną podczas rodzinnego wypadu w Tatry.



Fot. archiwum rodzinne

Garnitur. Dlaczego Ojciec nigdy nie zatrudnił się na krakowskiej uczelni? Przez brak garnituru. Po prostu nie kupił garnituru dla osoby na stanowisku, kiedy ktoś mu zasugerował, że taki prezent będzie gwarancją podpisania umowy o pracę. Jak fatalnym psychologiem musiał być ten „życziwy”, skoro zaproponował to mojemu Ojcu, człowiekowi uczulonemu na nieprawość! A ile śmiechu z tego było!

Halicz. Najważniejsze, bo pierwsze miasto. Pierwsze nabożeństwa, pierwsza szkoła, pierwsza księgarnia. Całe rodziny Karaimów, ludzie poważnie i serdecznie traktujący zamyślonego chłopca, o którym po latach będą opowiadać pracownicy Muzeum Karaimskiej Historii i Kultury w Haliczu.

Introligator. O takim zawodzie marzył w dzieciństwie. Życie zdecydowało inaczej, ale czasem robił przerwę w pracy, by podkleić kartki w mojej ulubionej książeczce. Z uśmiechem wymieniał okładki biblioteczne na nowe – nowy szary papier jest lepszy niż stary szary papier, prawda?

Jagiellonka. „To moja jedyna rywalka, ale jest o co być zazdrosną” – mawiała Mama. Jak każde krakowskie dziecko, znałam Annę Jagiellonkę z portretu Kobera – wyglądała dosyć odpychająco! Mamie chodziło o Bibliotekę Jagiellońską, istny Sezam starodruków i opracowań w dziesiątkach języków. Ojciec nie tylko wracał do domu późno i w euforii. Nieraz zdarzało mu się cierpieć katusze rozstania – naj-

bardziej ukochane książki pragnął przetrzymać latami, a bezduszni bibliotekarze przysyłali raz za razem upomnienia.

Koziołek. Kiedy pierwszy raz z Gdańska przywiozłam pierworodnego do domu Rodziców w Krakowie, mały miał osiem miesięcy i zdziwienie wypisane na twarzy. „Koziołek Matołek” – skomentowałam tę minę, ale Ojciec się zachnął: „Kozłuszek Geniuszek!”

Listy. Pisał je atramentem, tak kunsztownym maczkiem, że zachodni adresaci listów zadawali pytanie: „Szanowny Panie Kolego, gdzie można nabyć taką maszynę do pisania?” Dostawał ich tak wiele, że listonoszka czciła Go i robiła słodkie oczy. Mój narzeczony Adam, filatelista, przeżył szok, gdy ze skrzynki wyjęłam stos kopert ze znaczkami z wszystkich stron świata, a na samej górze list od prezydenta Austrii, który akurat jako współautor wydawał z Ojcem pracę zbiorową o wiktorii wiedeńskiej. W dzieciństwie najbardziej bawiło mnie odczytywanie adresów, np. „Professor Abrahamowicz, Poland” albo dokładny adres, ale zamiast nazwiska jego perska wersja: „Ibrahim Zade”.

Mnożenie. „Ile jest 364 razy 271?” – wołałyśmy z dużego pokoju do gabinetu Ojca, skąd zaraz napływała odpowiedź: „98644”, na długo zanim ujrzałyśmy pierwszy kalkulator. Niezwykle było to, że Tata błyskawicznie mnożył w pamięci trzycyfrowe liczby, oraz że dla tej rozrywki pozwalał się odrywać od świata słów, ilekroć Mama sporządzała kosztorys albo ja nie mogłam ruszyć zadania z matmy.

Niemcy. Tysiące upokorzeń podczas wykonywania przymusowych robót dla hitlerowców, trzy sytuacje, w których zdolności aktorskie i opanowanie w ostatniej chwili uchroniły młodego Zygmunta od śmierci z rąk nazistów... Typowe dla tego pokolenia. Lecz Ojciec nie był typowy, był niepowtarzalny. Potrafił oddzielić traumatyczne wspomnienia od dźwięku mowy Goethego i Heinego, którą uważał za najlepiej rozwinięty język nowożytnej Europy, i po niemiecku z wyraźną satysfakcją pisał prace naukowe bez pomocy tłumacza. „Ze wszystkich środowisk naukowych, jakie poznałem – powiedział mi kiedyś – niemieckie jest najdoskonalsze. Tak wnikliwych, subtelnych i logicznie myślących umysłów nie sposób spotkać gdzie indziej.”

Obowiązki domowe – Zabierał na długie spacer, kąpał i usypiał bajkami swoje dzieci, a potem mojego synka. Bajki były orientalne – tym lepiej. Pomagał w odrabianiu lekcji – w podstawówce z zajęć praktyczno-technicznych, na studiach z łaciny. Pastował całe armie

butów i stawał na dwie godziny w kolejce, by zdobyć dla nas winogrona. A przy tym nigdy nie przestał być sobą, czyli historykiem. O istnieniu wiertarki nawet nie chciał wiedzieć, skoro każdy obraz można było powiesić na haku za pomocą młotka. Elektryczne maszyny do pisania budziły w nim niesmak. Aż mi wstyd, że to piszę na komputerze!

Prezenty. Z Austrii czekolady nadziewane koniakiem lub marcepanem i lustra z wyrzeźbionymi znakami zodiaku, z Włoch materiały z olśniewającymi wzorami, z których zaprzyjaźniona krawcowa szła nam potem sukienki, z Francji tomiki wierszy i albumy o sztuce, z Niemiec znakomite płyty długogrające, ze Stanów pierwszy magnetofon kasetowy i repliki azteckiej biżuterii, z Turcji ceramika... Pomyślność Taty nie znała granic, uwielbiał dawać prezenty. A co w tym śmiesznego? To, że nienawidził ich dostawać i ostentacyjnie to okazywał! Sporo lat zajęło mi zrozumienie, że wybierając prezent dla Taty, muszę brać pod uwagę ewentualnego drugiego odbiorcę upominku wśród członków rodziny...

Regały. Może nie dochodziły do samego sufitu (3 metry 60), ale były całkiem blisko. Wypełnione po brzegi cennymi tomami, stanowiły przy okazji dowód, że „przejęciowe trudności” na rynku meblarskim nie zniechęca bibliofila. Były dębowe i pachniały jeszcze trochę cytrusami, jak powinny pachnieć dawne skrzynki po pomarańczach, zmyślnie powiązane drutem i przybite gwoździami do ściany gabinetu.

Stefcia. Bogata podkrakowska gospodyni, która – dla kaprysu? – sprzątała u nas dorywczo przez całe lata. Po dekadzie Mama po raz pierwszy otworzyła przed nią drzwi do gabinetu Ojca, prosząc o pomoc po mini-remoncie zrobionym ukradkiem podczas Jego wyjazdu. Ale Stefcia wypadła z gabinetu jak oparzona, osunęła się na fotel i zażądała wody. Kiedy już mogła skupić wzrok, wyjęczała: „Jakby to wszystko przeczytał, toby wariata dostał...”.

Ślub. Do naszego ślubu Ojciec zaczął przygotowywać się w dzień po oświadczeniach Adama. Przez kilka miesięcy studiował księgi, a kiedy z Gdańska i Warszawy zjechali karaimscy goście, poprowadził kieleszmiak tak pięknie, jakby przez całe życie tę umiejętność doskonalił. Dwa dni później, wyczerpany, ale szczęśliwy, odpoczywał na kanapie, kiedy zjawiała się listonoszka: „No tak, prawdziwy mężczyzna czasem musi się napić! Przyniosę Panu coś na kaca, mi to zawsze pomaga”.

Troki. Jedyne miejsce, gdzie słowo „wakacje” nie oznaczało dla Ojca „bezsensownej straty

czasu”. Tu miał swoją kochaną Mamę, zaróżowioną ze szczęścia, kiedy Zygmunt „składał się w pół jak szczyryk”, by ze swoich 186 centymetrów dosięgnąć jej policzka. Tu miał drogie siostry – Sabinę i Amelię, z którymi mógł rozmawiać godzinami po karaimsku na każdy temat. Tutaj mógł się modlić i odpoczywać we wspólnocie ludzi, których szanował nade wszystko. A w dodatku mógł do woli odwiedzać „swoje” trockie kino, najlepsze w Europie, bo pełne filmowych epopei rodem z egzotycznych Republik. Sami rozumiecie, te wszystkie języki...

Uczctowanie. Początek lat osiemdziesiątych to kompletne pustki w polskich sklepach spożywczych i przyjaciele z niemieckich uniwersytetów, którzy co rusz wysyłali Tacie wspaniałe paczki z kawą, wołowiną, bakaliami, nawet jajkami w proszku. Kawę przyjmował, dzięki niej mógł pisać i po nocach, ale reszta była upokarzająca. „Marianeczko, zrób coś z tym, oddaj to komuś” – słyszała Mama średnio dwa razy w tygodniu. I wymyśliła sposób: po zajęciach miałam wracać z dziesiątką głodnych studentów UJ albo kolegów z teatru. Wszyscy byli zadowoleni, a w domu znowu nie było nic do jedzenia aż do następnej paczki z Niemiec.

Wulgaryzmy. Dzięki Tacie bardzo wczesnie rozumiałam, co znaczy „filolog”. To ktoś, kto naprawdę kocha słowa i cierpi, gdy się nimi pluje czy pomiata. Nie znośli, gdy mówiłam brzydkie słowa, a konkretnie dwa: „fajne” oraz „No...” Nie do pomyslenia byłoby usłyszeć coś jeszcze brzydszego w naszym domu. Do dziś nie wiem, czy jedyne przekleństwo rzucane z rzadka przez Mamę – „cholera!” – było przez Ojca tolerowane z szacunku do Niej, czy przez respekt dla spustoszeń, jakie w historii poczyniła ta choroba.

Zapiekanek. Czy próbowaliście kiedyś zrobić wytrawną tymbyłową babkę tak szpinakową, że aż zieloną, z uprażoną cebulką zamiast rodzynek? W naszym domu nazywamy ją „babą Dziadka Mundka”, a moje dzieci tak samo czekają na nią każdej wiosny, jak niegdyś my z bratem. W innych miesiącach czasami tworzył dla nas inne zapiekankowe cudo, z halicka zwane „barabolennik” – to bardziej płaski, wegetariański kuzyn bioka, pieczony na blasze trójwarstwowy placek z tartych ziemniaków z cebulą, przekładanych słonawym twarogiem rozartym ze śmietaną. Smak tego był niezmierny, i to jest jeden z wielu powodów, dla których dziś szepczę: „Dziękuję, Tato...”.

Hanna Abrahamowicz-Pilecka